



Wielcy ludzie

Jan Zamojski



Jan Zamojski z drużyną

Jednym z najwybitniejszych Polaków XVI. w. jest Jan Zamojski.

Jako dwudziestoparoletni młodzieniec powrócił do kraju z Francji i Włoch, gdzie odbywał studia prawnicze, i gdzie,

będąc rektorem uniwersytetu padewskiego, zdobył sobie szacunek i uznanie cudzoziemców, a Ojczyźnie przysporzył chwały i znaczenia.

Zygmunt August mianował go swym

sekretarzem i powierzył uporządkowanie zupełnie zaniedbanego archiwum. Zamojski, dzięki swym niepospolitym zdolnościom, niezwyklej pilności i rozległej wiedzy, doskonale się wywiązał z powierzonych mu obowiązków. Nagroził go też sówicie Zygmunt August, ofiarując królewską zamecką, a następnie nadając starostwo.

W okresie bezkrólewia, po śmierci ostatniego z Jagiellonów, Zygmunta Augusta, na czoło rzeszy szlacheckiej wysuwa się postać Jana Zamojskiego. Jemu to w znacznej mierze zawdzięcza uzyskanie korony polskiej Stefan Batory. Po krótkotrwałych, nieudanych rządach Henryka Walezego nastąpiło powtórne bezkrólewie i wtedy to Zamojski, mąż wyjątkowo rozumny i światły, potrafił swym niezwykłym darem wymowy skłonić Polaków do wyboru księcia Siedmiogrodzkiego Stefana Batorego.

Batory objął rządy w niezwykle trudnej i ciężkiej chwili: z zewnątrz zagrażali Polsce cesarz niemiecki, car moskiewski i Tatarzy, a wewnątrz kraju panował zupełny nieład i ciągle waśnie. Trzeba też było żelaznej ręki Batorego, który miał o sobie, iż nie chce być królem mało-wanym, i mądrej, wykształconej głowy Zamojskiego, by w podobnych warunkach zaprowadzić ład i spokój. Nic więc dziwnego, iż wkrótce zaszczylił go Batory godnością kanclerza. Miał oddać Zamojski czuć nad ładem i porządkiem państwa, być stróżem praw narodowych i tłumaczem woli króla. I nie zawiodł Zamojski zaufania swego monarchy. Stał się nie tylko wiernym jego sługą i doradcą, lecz dzięki wielkiemu doświadczeniu swemu, rozsądkowi i popularności wśród rodaków, potrafił zjednać ogół Polaków dla planów Batorego.

Wspaniale zwycięstwa pod Połockiem, Wielkimi Łukami, Pskowem, triumf Polski nad Moskwą w wojnie inflanckiej to nietylko zasługa waleczności Batorego,

lecz w równie wielkim stopniu umiejętnego postępowania Zamojskiego, który umiał przekonać naród o konieczności tej wojny i o jej korzyściach. Dzięki niemu uzyskał król powszechną zgodę i środki na prowadzenie jej.

Dalsze plany Batorego i Zamojskiego przetrwała nieoczekiwana śmierć króla.

Zgon Batorego to początek upadku znaczenia Zamojskiego.

Następca Batorego, król wicz szwedzki Zygmunt III, niczem nie przypominał poprzedniego władcy. Chociaż do wyboru jego również wydatnie przyczynił się Zamojski, król nie tylko nie uznawał za sługę jego, lecz wręcz był nieprzychylnie usposobiony. Zamojski, ciągle kierując się dobrem kraju, mimo podeszłego wieku, wiernie i wytrwale służy mu, walcząc dzielnie z Mołdawią, Szwecją i Moskwą. Doznawszy jednak ze strony króla wielu dowodów niewdzięczności, a także podpadłszy na zdrowiu, prosi o zwolnienie z obowiązków hetmana i usuwa się od spraw państwowych.

Mówiąc o Zamojskim, nie można pominąć jego zasług, położonych przy szerzeniu oświaty. Niezwykle wykształcony, pojmujący doniosłe znaczenie nauki, założył w Zamościu, który był jakby stolicą jego posiadłości, akademie zwaną „Zamojską”. Akademia dzieliła się na kurs niższy i wyższy, odpowiadające szkole średniej i wyższej. Nietylko krzewił naukę, lecz również trzczył się o rozwój poezji i literatury. Był serdecznym przyjacielem i doradcą największego poety polskiego XVI w. Jana Kochanowskiego, w którego utworach często spotykamy się z imieniem hetmana. Zażyłe stosunki łączyły go z Łukaszem Górnickim, znakomitym pisarzem polskim XVI w., Szymonowiczem poetą i uczonym, którzy wiele życzliwości i poparcia zawdzięczają Kanclerzowi.

A. Mackiewiczowa

Z majówki wracają dzieci...

Z majówki wracają dzieci,
Ach, jak tam było wesoło!
Jeszcze lampionik się świeci,
Blaski jasne rzuca w okolo.
Lampionik wygrała Hala,
Do domu go teraz niesie,
Muzyka przycicha z dala,
A grała, oj, grała w lesie!
Aż, śliczna była majówka.

Szkoda, że wracać już trzeba,
Lecz sennie kiwa się główka
I gwiazdki mrugają z nieba:
„Już w gniazdkach posnęły

ptaszki

I na was, dzieci, już pora,
Pod swoje schronić się daszki,
Zmówić naciorek z wieczora!

P. W.

Jaskółki

Przeszło lat wiele i wiele razy jaskółki przyleciały w złotych promykach słońca i odleciały z lecącymi liśćmi.

Mieszkałam na wsi w niskiej drewnianej chacie, a przed oknami rozpościerało się szerokie pole, szare jesienią, bielusiękie zimą, a jasne, zielone i złote wiosną i latem. Z nastaniem ciepłych, słonecznych dni, po długiej i zawsze jednostajnej zimie, szybowwały nad tym polem leciuchne członka jaskółek i z szczebiotaniem zataczały koła.

U każdej wystającej krokwi budowały gniazdzka i co roku sześć pałaców jaskółczych było zamieszkałych przez święgotliwych lokatorów. Co to było pracy i uwijania przy budowie!

A cóż dopiero, gdy z małego okienka raz po raz poczęły wyglądać czarne łebki z wrzeszczącymi gardziółkami: „jeść! jeść!” Całe poddasze brzmiało radosnym święgotem: już zmrok zapadał, a w gniazdkach nad oknami dźwięczało niecierpliwie: „spać, spać!”

Coraz też ciszej w glinianym domku i jeszcze tydzień, jeszcze dzień, a mamusia wywoła pieszczochy na swobodny świat i nauczy szybować jak maleńkie łódeczki w kółkach, kółeczkach nad zielonym polem.

Aż, raz, jednego roku... Był to rok szczególnie niemiły. Zima ciężka, lato jakieś bezsłoneczne i mokre. Pracowite ptaszyny, jak co roku, przyleciały pod mój dach i z przewieszonym szczebiotem naprawiały swe gliniane chatynki. Ciągłe deszcze nie pozwalały na czeste wycieczki w przestworze i często całe towarzystwo przesiadywało w gniazdkach, toteż ustawicznie słychać było grymaśne piszczenie, święgotliwe sprzeczki i zawsze przyciszone upomnienia troskliwej, czarnej mateczki.

Nic dziwnego, w takie słotne dni ani tam lalki, obrazków, ani czytanek, a co najważniejsze — komarów i muszek nie było.

W jednym gniazdku szczególnie niespokojnie kręciły się grymaśniki, nie zważając, że belka namokła a może i do gniazdzka woda się dostała. Nagle bęł gliniany domek runął na zieloną murawę wraz z trzema czarnymi ptaszynami. Tak to, jak u

ludzi, nieszczęścia spadają niespodzianie. Ptaszynki były już całkiem okryte piórkami, lecz latać jeszcze — ani rusz. Szcześciem upadły na miękka murawę i nie się małym grymaśnikom nie stało. Ale co z nimi robić? Rodziców ogarnęła prawdziwa rozpacz. Właśnie słońko zabłysło i z głośnym szczebiotem poczęły stare latać nad polem i chatą, wracając ustawicznie ku belce, od której odpadło gniazdzko. Na żalosne ich święgotanie nadleciała cała gromada sąsiadów bliższych i dalszych i z głośnym narzekaniem oblatywały miejsce nieszczęścia. „Nie ma dzieci, nie ma dzieci!” — drżało w błękitnym powietrzu.

Opadał na drugiej belce pod dachem leżało rozrzucone gniazdo wróble. Przystawiłam drabinkę i ułożyłam tam piskleta, lecz daremnie! Rodzice nie znaleźli ich. Szczególnie przykro było patrzeć na rozpacz matki. W żalotnym zapamiętaniu chwytiała owady i wtykała je w szpary belki, gdzie przedtem było gniazdzko jej dzieci.

Szcześliwa myśl przyszła mi do głowy. Miałam w domu maluśki koszyczek, który dawniej służył za gniazdo kanarkom. Złocony był i ozdobiony kwiatkiem; nie byłam pewna, czy te ozdoby nie odstraszą ptaszków. Wysłałam koszyczek wają, przybiłam gwóźdźmiem w miejscu dawnego gniazdzka i włożyłam ptaszki. Stare jaskółki okrażały z początku gniazdzko nieufnie, daleko, lecz po sporej chwili, gdy ujrzały czarne łebki swych dzieci, rzuciły się ku niemu. Coraz więcej jaskółek przybywało i czarna chmura otaczała złocenie gniazdzko. Radości nie było końca. „Dziw, dziw, ciesz się ciesz, znalazły się dzieci!” święgotano w powietrzu. Wreszcie obce, pełne podziwu odleciały a rodzice poczęli skrzętnie zanuchać komarami wynoszczone przez kilka godzin gardziółka małych żarłoków.

Lecz nie tu koniec kłopotom. Małe utrapienie niespokojnie kręciły się w złoconym gniazdku i raz wraz fik — i któreś leżało na trawniku. Już mi się sprzykrzyło wędrować ustawicznie po drabinie i zanosić rozruchwane jaskółcze łobuziaki i tu musiałam podziwiać poradność i zmysłną troskliwość jaskółek. Widząc, że

(Dokończenie na str. 7-mej)

Święto Narodowe

Dzień 3 maja jest dniem polskiego święta narodowego. W roku 1791 w dniu 3 maja, który tak jak w tym roku wypadł we wtorek, została uchwalona Konstytucja, zwana Konstytucją 3-40 Maja.

Dlaczego tak wielką wagę przywiązujemy do uchwalenia tej Konstytucji, dlaczego rocznicę obchodzimy uroczystie — stawiamy w pierwszym szeregu uroczystości narodowych i patriotycznych?

Bo Konstytucja 3-go Maja była początkiem nowej ery dla Polski.

Od połowy wieku XVII źle zaczęło dziać się w Polsce. Zmniejszyło się jej znaczenie w Europie, chmura zasnuła słońce sławy.

A stało się to z dwu przyczyn. Wpłynął na to ogólny układ stosunków w Europie, a przede wszystkim wady urządzeń wewnętrznych Polski.

Epoka Sasów była epoką ciemnoty, przesądów i bezprawia, które prowadziły Polskę do upadku.

W połowie XVIII wieku opamiętali się Polacy. Zebrała się grupa ludzi wykształconych, patriotów, dla których dobro państwa stało się jedynym celem. Założono szereg nowych szkół, propagowano oświa-

te, walczone z ciemnotą i przesądami. W roku 1788 rozpoczął się Sejm Czteroletni. Sejm ten radził nad zmianami w ustroju i sposobie rządzenia w Polsce, nad środkami uratowania Ojczyzny od zgub.

Wynikiem prac Sejmu Czteroletniego była właśnie przygotowywana już od dawna przez patriotów Konstytucja 3-go maja.

Konstytucja Majowa uporządkowała ustrój Polski. Wniosła ducha równości — na podstawie Konstytucji wszyscy obywatele byli równi — znikło dawne wyróżnianie szlachty, jak do tej pory stanu jedynie uprzywilejowanego ze szkodą dla mieszczan i chłopów.

Bardzo ważną sprawą dla Polski było wzmocnienie władzy rządowej, zwłaszcza po chaosie, jaki panował w okresie poprzedzającym Konstytucję.

Konstytucja 3-go Maja była pierwszą próbą zjednoczenia całego Narodu w momencie niebezpieczeństwa.

Stała się podstawą dla następnych konstytucji polskich.

Dlatego dzień 3-go maja jest wielkim świętem narodowym.

M. J.

Dzień 3. maja 1791. roku

Warszawa wcześniej zbudziła się w pamiętnym dniu 3-go maja. Od samego świtu ogromne ożywienie zapanowało w mieście.

Wojsko różnej broni przemaszerowało ulicami, część ustawiła się szpalarami na Krakowskim Przedmieściu, część otoczyła Zamek Królewski. Z zamkowego tarasu spoglądały paszczę zatoczonych armat.

Nagle niespodziewana wieść obiegła miasto. Przeciwnicy Konstytucji przygotowali podobno powstanie i zamach na króla i na Sejm. Na tę wieść niesłychane oburzenie ogarnęło stolicę.

Lud uformował pochód, na czele którego ustawili się radni miejszc ze swym prezydentem. publiczność przylączyła się do pochodu. Tłum zwartą ławą skierował się do Zamku. Z wszystkich piersi zabrzmiał okrzyk, jak grzmot:

„Niech żyje Konstytucja“!

Tymczasem na Zamku od samego rana liczna publiczność zapełniła galerie, korytarze i sale. Posłowie zebraли się wcześniej niż zwykle w sali obrad. Zwłaszcza przeciwnicy Konstytucji zeszli się zawczasu, aby przygotować się do oporu. Ale patrioci czują się silni, nie obawiają się sprzeciwu.

Ogólną uwagę przyciągała piękna postać ks. Józefa Poniatowskiego w gronie ułanów. Obok księcia adiutant królewski, gen. Gólkowski. Wokół tronu króla ustawili się brygadierzy Wielowski i Jan Potocki z oficerami królewskiej gardii.

Kilka minut po jedenastej wszedł król Stanisław August.

Marszałek sejmu zaraz po wejściu króla rozpoczął posiedzenie pięknym przemówieniem. Po przemówieniu marszałka

Małachowskiego rozpoczęły się rozważania i przemówienia posłów. W końcu niecierpliwiona zbyt długimi mowami sala zaczęła się domagać projektu konstytucji:

„Prosimy o projekt — wolano — prosimy o odczytanie projektu“!

Sekretarz odczytuje projekt nowej konstytucji.

Na sali entuzjazm, krzyki.

„Zgoda! Zgoda! Zgoda!“

Gorące okrzyki, podtrzymywane przez tysiące ust nie były jednak w stanie zagłuszyć głosów opozycji. Poseł kaliski Suchorzewski usiłował przekrzyczeć tłum. Krzyczy, że nowa kontytucja jest zamachem na wolność i na szlachtę. Jego głos jednak przez chwilę wybijający się z tłumy, bardzo szybko został zagłuszony przez okrzyki patriotów.

Przeciwnicy nie dali jednak za wygrana. Gdy sala ucichła na znak dany przez marszałka, znowu odezwały się głosy sprzeciwu. Tym razem przeciwnicy zażądali powtórego odczytania konstytucji. Chcieli w ten sposób zyskać na czasie, przedłużyć debaty i uniemożliwić choć w tym dniu uchwalenie konstytucji.

W tym jednak momencie porwał się poseł inflancki Zabiello i zwracając się do Stanisława Augusta, zawołał wstrząsającym głosem:

„Najjaśniejszy Panie, zaprzysiąż kon-

stytucję, a wszyscy pójdą za twoim przykładem.“

Tysiące głosów podtrzymały prośbę Zabielly. Biskup krakowski Feliks Turski podszedł do króla z Ewangelią.

Król powstał i położywszy dłoń na Ewangelię powtórzył za biskupem słowa przysięgi.

Entuzjazm zgromadzonych doszedł do szczytu. Krzyczano, wiatowano, rzucano się sobie w objęcia.

— Niech żyje Konstytucja — zabrzmiało w salach, zahuczało na ulicach.

Król szczęśliwy z osiągniętego zwycięstwa wezwał wszystkich aby udali się do katedry. Zgromadzeni przez Zamkowy plac i podążyli do kościoła św. Jana. Na placu oczekują wiatujące, rozszalałe z radości tłumy.

„Vivat król! Vivat Sejm! Vivat wszystkie stany!“

A gdy w kościele po złożeniu ogólnej przysięgi zabrzmiała pieśń „Te Deum laudamus“, a pieśni zawtórowały armaty, wzruszenie tak wielkie opanowało wszystkich że zdawało się rozsadzi serca, rozsądzi mury miasta — nie starcy nań wiejsca w całej Polsce, jak długa i szeroka.

I długo w noc cieszyła się Warszawa, jasno iluminowane domy śmiały się białskimi, ulica żyła i tętniła radością.

To był dzień 3-go Maja 1791. roku.



Zofia Rontaler

Stary telefon

Na dużym zielonym biurku, tuż obok okna mieszkały dwa telefony.

Starszy był gruby, wysoki i poważny. Dzwonił spokojnie i głośno. Młodszy — niski i maleńki — głosik miał cieniutki i dzwiczny.

Stary Telefon od wielu już lat mieszkał na zielonym biurku: łączył i rozłączał Warszawę z wszystkimi miastami Polski, znał więc cały kraj doskonale.

Mały telefonik, którego wszyscy w biurze nazywali Bełkotkiem, od niedawna dopiero mieszkał obok Starego Telefonu. Był jeszcze bardzo młody i niedoświadczony, toteż rozmawiał tylko z Warszawą. Łączenie z innymi miastami to była dla niego praca jeszcze znacznie za poważna. Bełkotek strasznie lubił płatać figle, przerywać rozmowę w samym środku, mylnie łączyć, lub śmiać się dzwicznym dwo-

neckiem bez prawdziwej przyczyny.

Stary Telefon karcił za to małego figlarza.

— Nie można przeszkadzać ludziom — mówił surowo — nie trzeba im dokuczać, nie będą mieli dla ciebie żadnego szacunku. Ja staram się zawsze ludziom dopomóc i dlatego lubią mnie i szanują.

Rzeczywiście stary telefon bardzo był w całym biurze lubiany i poważany. Wszystkie telefony z innych biurk zwracały się do niego o radę i pomoc.

Wieczorem, kiedy chciały dzwonić, a urzędnicy rozchodzili się do domów, telefony z całego biura zbiegały się na biurko Starego Telefonu a on, jeśli nie był bardzo zmęczony, opowiadał im o całej Polsce, o ludziach i o rozmowach jakie przez dzień usłyszał.

Nikt w całym biurze nie znał Polski tak jak Stary Telefon. Nikt nie wiedział tyle o wszystkich pięknych miastach i miejscowościach.

Pewnego wieczoru, jak to zwykle bywało, gdy cisza nocna zajęła miejsce codziennego gwaru, Stary Telefon cichutkim dzwonieniem zwołał do siebie swych kolegów z innych biur. Belkotek cieniutkim głosikiem przynaglał, aby przybywali jak najprędzej, bo są bardzo ważną sprawą do omówienia.

Gdy wszyscy przybyli na miejsce, Stary Telefon zaczął mówić, ale jakoś bardzo cicho i bardzo poważnie.

— Moje kochane dzieci, dziś wyjątkowo nie ja będę mówił, ale wy, zrobimy egzamin. Chciałbym przetestować się, czy dużo pamiętacie z moich opowiadań, czy nauczyliście się czegoś ode mnie. Kolejno będziecie opowiadać, co pamiętacie o miastach polskich.

Telefony ze zdziwieniem i trochę przerażeniem zaczęły kolejno swoje opowiadania. Więc najpierw Belkotek opowiadał o Krakowie, o Wawelu, o Grobach Królewskich, o Wieży Mariackiej, o Kopcu Marszałka Piłsudskiego na Sowińcu i o Kopcu Kościuszki, o Sukiennicach i o Ryńku.

Później inne telefony opowiadały o Wilnie, pięknych wileńskich kościołach i cudownym obrazie Matki Boskiej Ostrobramskiej. I jeszcze o Poznaniu, o Lwowie, Łodzi i Zakopanem i o wielu, wielu innych miastach i miejscowościach polskich.

Gdy skończyły Stary Telefon pokręcił głową z niezadowolaniem.

— Mało zapamiętałyście dzieci z moich opowiadań, bardzo mało jeszcze umiecie. Niestety niczego więcej was nie nauczę, bo będziemy musieli się rozstać.

— Jak to rozstać? — spytały telefony z przerażeniem.

— Dziś zdecydowano, że jestem za stary, że niedobrze łączę, że coś mi w środku brzęczy, że głos mam zachrypnięty i nieładnie dzwonię. Postanowiono zastąpić mnie nowym telefonem.

Stary telefon zamikł, tylko srebrne łyżki płynęły po błyszczącej tarczy.

Małe telefony też zaczęły cichutko szlochać, tylko Belkotek nie brał udziału w ogólnej rozpacz. zastaniawiał się nad czymś poważnie.

— Nie ma czego rozpacząć — powiedział w końcu, na wszystko jest rada. Stary Telefon powinien wypocząć, przejść kurację. Jeśli ludzie sami tego nie rozumieją, trzeba ich zmusić. Jutro, jeśli by chcieli zabrać Stary Telefon, a nie wezwa-

liby przedtem doktora, to zbuntujemy się: nie będziemy łączyć, albo też będziemy dzwonić bez przerwy. Wszystkich nas przecież nie usuną. Wezwą lekarza, który gdy zbada Stary Telefon, napewno zadecyduje, że on jeszcze doskonale po kuracji będzie mógł pracować.

Wszystkim telefonom bardzo się ten pomysł podobał. Stary Telefon z początku nie chciał się zgodzić, bo nie lubił robić ludziom na złość, ale małe telefoniki tak go zakrzyżczały, że w końcu musiał ustąpić.

Na drugi dzień z samego rana jeden z urzędników powiedział:

— No, dziś to już koniecznie musimy usunąć ten stary grat, był dobry, ale się już wysłużył.

Telefony zatrzęśły się z oburzenia, aż uderzyły słuchawki o widełki — i jak na komendę zaczęły dzwonić, nierówno, głośno i bez potrzeby. Później nie łączyły wcale, milczały głucho, a potem znowu dzwoniły.

Ludzie złościli się bardzo i nie mogli pojąć co się dzieje. „Przecież wszystkie telefony nie mogły się popuszcć jednocześnie, może to coś na linii”. Ale linia była w porządku, bo Stary Telefon łączył doskonale i dzwonił normalnie.

Wtedy przyszedł mechanik — doktor. Zbadał wszystkie telefony i powiedział, że są zdrowe, w porządku. Na samym końcu obejrzał i opukał Stary Telefon.

— Dlaczego Panowie chcą go usunąć — zapytał — to jeszcze zupełnie dobry aparat. Trzeba go tylko trochę oczyścić i będzie działał doskonale.

Telefony zadrzały, tym razem z radości.

I rzeczywiście stary telefon po kuracji czuł się doskonale. Nie mylił się nigdy w połączeniach, dzwonił głośno i pięknie i nic mu w środku nie brzęczało.

I znowu wieczorami, gdy nie był bardzo zmęczony opowiadał młodszym kolegom przepiękne historie.

Znowu zapanowała radość, telefony śmiały się dzwonkami przez cały dzień i z radością czekały wieczoru.

Tylko raz jeden zdarzył się trochę nie miły wypadek. Ktoś powiedział:

— Wiecie, jednak przekonałem się, że ten Stary Telefon ma duszę i jest żywy, że rozumie co do niego mówily te tam małe to martwe aparaty, ale ten jest inny napewno.

I wtedy Belkotek zaczął dzwonić krzykliwie, długo, przeciągle. Zawtórowały mu wszystkie telefony w całym biurze — dzwoniły bez końca, żeby ludzie się przekonali, że i one żyją i one rozumieją co się do nich mówi.

Zofia Rontaler

(Dokończenie ze str. 3-jej)
dzieci ich ustawicznie wypadają, poawiegotwały coś, uradziły i po chwili poczęły pilnie znosić błoto i domurowywać ściankę od koszyczka w górę ku dachowi. Prawdziwie podziwu godnym był ten zmysł i rozumek małych ptasząt.

Domurowały ściankę, zostawiając, jak zwykle, mały otwór.

Dzieci wychowały się szczęśliwie i od-tąd co roku gnieździły się moje ukochane ptaszynny w tym, ciekawie zbudowanym mieszkaniu, gdzie parter był złożony z różowym kwiatkiem, a piętro z szarego błota.

Jeszcze przed rokiem, przejeżdżając przez tę wieś, widziałam mój złożony koszyczek pod dachem. Może i w tym roku czarne łódeczki zataczają tam swoje koła, świegocząc: „Dziw, dziw, jak pięknie słońce świeci, dziw, dziw, jak piękny ten świat”.

Węźcie sobie za wielki obowiązek szanować gniazda jaskółcze i nie dozwolic nigdy na ich krzywdę, bo zdaje mi się, że tych miłych ptasząt coraz mniej do nas przylatuje. W naszej okolicy stanowczo ich ubywa, tak, jak wyginęły u nas zupełnie słowiki. Opiekujcie się zawsze serdecznie ptaszkami.
W. Malicka

Zoo-atrakcja Warszawy

W każde święto, choć i w dnie powszednie nie brak amatorów, ciągną z miasta na drugą stronę Wisły dorośli i dzieci, by odwiedzić mieszkańców Ogrodu Zoologicznego. Szczególnie dzieci cieszą się, że mogą z bliska oglądać słonie, misie, jelenie, małpki i mają sposobność przejechania się na kucyku, osiołku czy na wielbłądzie.

Warszawskim Zoo zainteresowali się już uczeni z zagranicy a specjalnie dyrektorzy podobnych instytucji. Przyczyną tego była między innymi niezwykła, jak na warunki niewoli, płodność zwierząt egzotycznych, czasem nawet takich, które się w ogóle w zamknięciu nie mnożą.

Do najsensacyjniejszych tego rodzaju wydarzeń, o których głośno było w dziennikach całego świata i w czasopismach naukowych, należały narodziny w ubiegłym roku słoniczki. Tuzinka — Syrenka nazwano małe, włochate stworzonko z cieniutką trąbką. Imię Syrenka, bo Syrenę ma w herbie swym miasto Warszawa, a Tuzinka, ponieważ jest to dwunasty dopiero w ogóle słoń, jaki urodził się w Zoologicznym ogrodzie, od czasu jak ludzie zaczęli zakładać zwierzyńce, by móc z bliska obserwować życie i zwyczaje zwierząt. Nawet będące w niewoli u maharadzów indyjskich, ale korzystające z zupełnej niemal swobody słonie bardzo rzadko tylko miewają młode. Toteż dla dyrektorów ogrodów europejskich była do sensacja nie-lada, a zainteresowanie Tuzinką weale dziś nie maleje. mimo, że ma ona już prawie. Dopytują się o jej wzrost, wagę,

ogólny rozwój a Tuzinka bije pod tym względem wszelkie rekordy.

Do mniejszych, lecz za to rzadszych może zdarzeń należy urodzenie się w Warszawie rysia. Jest to bodaj jedyny na świecie wypadek. Znakomicie mnożą się tu lwy, których w ciągu dziewięciu lat urodziło się 67. I lwy przeważnie wymieniają się z innymi ogrodami zoologicznymi na inne zwierzęta, których na razie Warszawa brakuje.

Poza tym ze zwierząt trudnych do utrzymania w zamknięciu jest przychówek: dwie czarne pantery, cztery zebry, trzy wielbłądy, 12 niedźwiedzi, 5 lamy, 3 ocelotów, 5 lampartów, 7 pum amerykańskich i wreszcie 2 jelenie indyjskie. Jeden jelen mandżurski t. zw. jelen Dybowskiego, gdyż odkrył go i wyodrębnił znakomity zoolog polski, prof. Benedykt Dybowski, 8 pekarzy amerykańskich, 6 jeżowierzy, 5 szopów, lis srebny, krzyżaki, małpiatki, małpy, hieny, psy Dingo, nutrie i najrozmaitsze ptactwo.

Tę wielką płodność mają zwierzęta do zawdzięczenia metodzie dyrektora Ogrodu dr. Żabińskiego, stosowanej na wielką skalę w Warszawie. Metoda ta polega na tym, że zwierzętom mięsożernym daje się poza mięsem również pokarm roślinny, a roślinożernym mięso w proszku. Dyr. Żabiński pragnie dowieść, że nie ma zwierząt tylko roślinożernych i tylko mięsożernych, ale że wszystkie zwierzęta odżywiają się różnorodnie z pewną przewagą

kiego, lub innego pokarmu. I oto teza ta została przez eksperymenty dowiedziona.

— Zwierzę może nawet bardzo ładnie i zdrowo wyglądać — mówi dyr. Żabiński, ale dowodem jego zupełnego i prawdziwego zdrowia jest dopiero zdolność rozplodzenia . . . I nasz system odżywiania przyczynia się do tego niewątpliwie w stopniu bardzo znacznym."



Słoń z Ogródu Zoologicznego warszawskiego — jeden z rodziców Tuzinki — Syrenki

Innym eksperymentem, stosowanym na szeroką skalę są próby aklimatyzacji mieszkańców ogrodu. Nawet egzotyczne zwierzęta, pochodzące z najbardziej gorących, podzwrotnikowych krajów są zimą wypuszczane na powietrze i doskonale się czują na mrozie, gdy dotychczasowe metody nakazywały trzymanie ich w specjalnie ogrzewanych pomieszczeniach. Zwierzęta warszawskie spędzają zimą na t. zw. wybiegach (otwartych przestrzeniach, oddzielonych od publiczności rowem) gdzie mają mieszkania, które mogą opuszczać kiedy zechcą.

Obecnie Ogród ten liczy 1500 (w ostatnim roku przybyło ich 500) okazów reprezentujących 150 gatunków ssaków, 250 ga-



Białe niedźwiedzie

tunków ptaków i 10 gatunków gadów. Wśród tego wspaniały łoś, zwierzę, które zaledwie trzy inne ogrody potrafiły wychować w niewoli.

Zoo warszawskie jest pod względem obszaru największe w Europie, większe o $\frac{1}{3}$ od zwierzyńca słynnego sprzedawcy dzikich zwierząt Hagenbecka, a trzykrotnie od ogrodu berlińskiego. W odpowiednim stosunku wielkości są budowane wybiegi dla zwierząt. Wybiegi, gdyż idzie o to, by dać egzotycznym gościom jak największe złudzenie swobody. Wspaniały wybieg mają więc lwy, olbrzymi plac do zabaw słonie, piękny basen foki oraz lwy i niedźwiedzie morskie, podobnie hippopotamy. Ogród zabudowany jest w ten sposób, że każda część świata ma w nim oddzielny te-



Flamingi

ren i tworzy pewną całość. Jest to zasada t. zw. podziału geograficznego.

Ogród warszawski jest młody, najmłodszy wśród ogrodów europejskich, ale rozwija się tak pomyślnie, że już w niedługim czasie będzie mógł dorównać ilością zwierząt i wartością inwentarza innym ogrodom w Europie. E. G.

WYWNIOSKOWAŁ

Dzieci na lekcji rysunków malują domki kolorowymi kredkami. Jaś maluje zielony dym, wychodzący z komina.

— Dlaczego malujesz zielony dym? — pyta nauczycielka.

— A, bo proszę pani, a myślę, że u nas dzisiaj będzie zielony dym, bo gotują szpinak.